

Romans i Powieść.

Adres redakcyi i administracyi:
Warszawa—Al. Jerozolimska, 49.
Kraków—Zyblikiewicza, 8.

W Król. i Ces. 4 r. rocznie
w Galicyi 10 koron

Eliza Orzeszkowa.

BÓG WIE KTO.

(rok 1863).

— Jezus Maryja! Co ty wygadujesz, Marylko!

— Bóg wie, co pleciesz!

— Nie znasz się!

— Nieszczęście przepowiadasz...

— Tu żartow niema! To byłoby nieszczęście!...

— O nowem sprowadzaniu ani myśleć!...

— Gdzież tam! czasu już niema...

— Króju, Marylko! Zaczynaj krajać! Zobaczysz, że wystarczy...

Ręce błagalnie złożyła i głosiem ciekim zawołała.

— Boję się! Jak mamę kocham, nie wystarczy, a potem panie powiedzą, że źle wymiarkowałam i że to moja wina!

Nic tak łatwo do pasy doprowadzić nie może, jak strach. Strachem zdjęła mię przepowiednia Marylki, więc wpadam w pasy i nie wołam już, ale krzyczę, wprost krzyczę.

— Pani Czernickiej tu poproś! Powiedz, że prosimy bardzo, żeby przysłała!

— Czernickiej! Czernickiej! powtarza za mną chór kilku głosów, a inne wołają.

— Czernisi! Czernisi na ratunek zawołać!

Żona to nadleśnego, w oficy nie mieszkająca z mężem i z synem jedynakiem, którzy obaj do party iść mają. O, ta na wszystkim zna się! Gdy idzie o gospodarstwo i wszelkie inne takie rzeczy, wszystko robić umie i robi gorliwie, sumiennie.

Wchodzi. Wysoka taka, że my przy niej liliputki, a taka od góry do dołu cienka i równa, że nie gładko wyprzedzoną przypomina. U szczytu główka mała, z małą twarzączką żółtą i małemi oczkami czarnymi, a z tyłu głowy ubożuchny warkoczyk, spiralną linią sterzącą nad włosami, tak wygładzonymi i błyszczącymi, że zdają się być bardzo obcisłym czepeczkiem z czarnego atlasu. Czarną suknię na sobie ma i na czole pod czarnym atlasem włosów zmarszczki bardzo sympatyczne, bo o jakichś pocziwych troskach i trudach opowiadające, wyraźnie opowiadające.

Ciekawie na nas i na robotę naszą spogląda i, wezwaniem uradowana, z uśmiechem kłania się na wszystkie strony. A z naszej strony zgłębki wykrzykników.

— Czernisiu, ratuj! Oto baranki!... Sto konfederatek uszyć! Zmiluj się, zrób tak, aby wystarczyło! Popatrz, pomiarkuj, wymierz, skrój!

Patrzała, miarkowała, na wszystkie strony baranki obracała, milcząc. Zły znak, że milczy. Żaden grek w obraz Pytyi trwoźniejszego wzroku nie wlepiął, niż nasz był w tej chwili.

— Cóż? Jak pani Czernicka o tem myśli?

— Co myślisz, Czernisiu?

A ona z zastanowieniem i totem uroczystym odpowiada.

— Nic nie myślę. I nic teraz ostatecznego nie powiem. Straszycie nie chcę i obiecane - cacane nie

lubię. Może wystarczy, może nie wystarczy. Dobrze miarkować i wymiarkowywać trzeba. Ale—że zrobię wszystko, co w możliwości człowieczej jest, o tem panie upewniam, bo przecież to nie dla kogoś tam jednego, ale i dla szczęśliwości publicznej robota.

Lubiła czasem Czernisia mówić górnio i tę „szczęśliwość publiczną“ jakoś tak sama sobie wymyśliła, bo ilekroć dwa te wyrazy wymawiała, stawała się trochę rozrzuwioną i zarazem uroczystą.

— O nożyczki proszę....

— Są! są! Oto są! Moja Czernisiu, moje złota, miarkuj, rozmiarkowuj!

Ciężar nam wszystkim z piersi spadł. Już kiedy Czernisia czemś się zajmie i o coś się postara...

Przy naszym stole z krajaniem swoim zmieścić się nie mogła, więc gdy przy bocznym stoliku, różne fraszki i fatalaszki z niego zdjąwszy, nad górą barankowych futerek stanęła, to zdawać się mogło, że różowe tło pokoju przeznęła kresa czarna i długa, u szczytu w kropkę ze sterzącym ku górze ogonkiem zaopatrzone.

Milczenie na długo różowy pokój zaległo; tylko w nim osiem par rąk z igłami w palcach—to podnosi się nad pochylone głowy, to opada, to dwoje nożyc—to otwiera się, to zamyka, aż czasem zgrzyta. Nożycy Wincusi działają w tempie spieszonym, Czernisi w powolnym, ostrożnym. Patrzymy czasem na nią, gdy, czynność krojenia na chwilę

zawieszając, przypatruje się rozłożonej na stole sztuce baranków, wzrokiem ją przemierza, z palcem do ust przytkniętym rozmyśla, rozważa—i dobra nadzieja do serc nam wstępuje.

Nadzieja! Tej pełne byliśmy nie tylko co do oszyci u kwadratowych czapek. Najróżniejszymi głosy śpiewała ona w wiośnianych głowach naszych, które dotąd czubkami fryzur zaledwie wychyliły się na świat zawodny, okrutny, i w sercach naszych gorących, aż wrących, które brzegami warg zaledwie ostrych brzegów puharu jego dotknęły.

„O, młodości...
Śnie na kwiatach,
Śnie mój złoty...“

Czemże są kwiaty młodości? Marzeniem, co więdnie w jesieni. Czem jej złoto? Nadzieją, co w ogniu życia topione, po drogach jego z serca wycieka.

Za oknami szary deszczyk marcowy mży i mży; z przeciwnego końca domu dochodzą czasem brzmienia męzkich głosów niewyraźne i na długo milkną. Cisza.

W ciszy różowego pokoju o jaskrawości trzech kolorów, na wszystkie strony rozrzuconych, rozległ się przyciszony, z głębokiem, piersiowem brzmieniem, głos kobiety, który mówić zaczął.

„O, matko polko, gdy u syna twego
W żrenicach błyszczą genjuszu świetność,
Jeśli mu patrzy z czoła dziecinnego
Dawna polaków duma i szlachetność...“

Z robotą i rękoma, na kolana opuszczonemi, z bładem czołem, naprzód nieco podanem, Klemunia Boniecka mówiła wiersz, wszystkim nam dobrze znany, przez wszystkie prawie na pamięć umiany. Nie deklamowała, — mówiła. Mówiła powoli, zcicha, spokojnie.

„Wcześniej mu ręce okręcaj łańcuchem,
Do taczkowego każ zaprzęgać woza:
By przed katowskim nie zbladnął obuchem,
Ani się splonił na widok powroza...“

Mówiła powoli, zcicha, spokojnie. Tylko w głębokim jej głosie pobrzmiwały czasem nuty bólu i smutku, a w siwych żrenicach, które z pod wypukłego czoła kędyś woddali tkwiły, płonął ogień spokojny, równy, silny.

„Zwycięzcomu za pomnik grobowy
Zostaną suche drewna szubienicy,
Za całą sławę krótki płacz kobiety
I długie, nocne rodaków rozmowy...“

U szyi jej, na czarnym staniu ku połyskiwała ramka stalowa, obejmująca portret Kościuszki.

Szyć nie przestając, wiersza na pamięć umianego słuchaliśmy tak, jakgdybyśmy po raz pierwszy w życiu go słyszały: z przyśpieszonym biciem serc, z wilgocią na rzęsach. Hrabina westchnęła głośno; może o swoich dwóch synkach malutkich pomyślała. Oktunia szepnęła.

— Mój Stasik maleńki...

Wtem—u bocznego stolika za grzmiało, runęło; jakby się trąba nad gruzami zburzonego Jeruzalemu rozległa.

To Czernisia nos utarła. A potem, przez chwilę jeszcze, wielką chustą, po twarzy ciekące, ocierała.

Aby zasiadaniem do stołu przerwy długiej w robocie nie sprowadzać, śniadanie do różowego pokoju przynieść kazałam. Na późny obiad—to już do sali jadalnej pójdziemy, ale teraz—byle jak, byle co, byle czasu tracić jaknajmniej! Co za szkoda, mój Boże, że człowiek, gdy ma coś lepszego i miłszego do roboty, bez jedzenia obejść się nie może! Niech tam w sali jadalnej panowie dziś sami jedzą, a my tutaj—pręciutko! Panom dziś tutaj przychodzić nie wolno, bo swemi żartami, wiecznem swoim sprzeciwianiem się—tylkoby przeszkadzali.

Przyszli jednak. Trzech domowych było i czwarty gość. W przerwie śniadaniowej przyszli, gdy Oktunia, bezkresny tren amazonki swojej podniósłszy, do salonu przyległego wybiegła, przy fortepianie usiadła i silnym sopranem na cały dom zaśpiewała: „Rachelo, kiedy Pan, w dobroci niepojęty...“

Gwar powstał, panowie weszli i śpiewaczkę otoczyli, prosząc, aby jeszcze co zaśpiewała. Więc nastąpiły „Les adieux“ Szuberta i „Bywaj, dziewczę, zdrowe, Ojczyzna mię woła.“

A czas uciekał.

— Oktuniu, dość śpiewania! szyć trzeba!

Zerwała się od fortepianu, w trenie amazonki zaplątawszy się, o mało nie upadła, lecz zwinna, jak sar-

na, z więzów się wywinęła i, krzesła swego dopadłszy, już szyje, szyje. A my panów nie tylko z różowego pokoju, ale w ogóle z pobliza swego, wydalić usiłujemy. Niech sobie na drugi koniec domu idą, niech nam coperdziej z oczu schodzą, niech nam nie przeszkadzają.

Oktunia, ani namgnienie oka szyć nie przestając, pełnym głosem, na nutę „Rachelo, kiedy Pan“ śpiewa: — Niech dają nam święcę — ty— poooo— kój!

Nie chcą zrazu odchodzić, opierają się, proszą, aż nakoniec ogłuszeni, zakrzyczani, oddalają się, a w różowym pokoju znowu milczenie, szyć, ręce to podnoszą się, to opadają, czasem stalowa iskra na staniku lub w splotach włosów błysnie, czasem nożyce za-grzytają.

Bo Wincusia i Czernisia bez przestanku kroją i kroją: pierwsza raźnie i szybko, druga, różową ścianę wciąż długą, czarną kresą przerynąjąc, rozważnie, uroczyście.

Wtem turkot kół na dziedzińcu. Ktoś przyjechał. Tosia zarmieniła się, Ince igła z palców wypadła.

— Może wesoły Oleś!—zartujemy z pierwszej.

— Może p. Gustaw!—drażnimy się z drugą.

Ale że mi wcale, oprócz niewyraźnych w oddali głosów i kroków, dosłyszeć niepodobna, więc Inka podnosi na nas oczy i z najśrodszą swoją minką proponuje.

— Pójdę, dowiem się, kto przyjechał.

— Owszem, prosimy.

Wybiega i rychło, z greckim noskiem, na kwintę spuszczone, powraca.

— Pan Burakiewicz przyjechał—mówi.

DCN.



MARZYCIEL.

Podniosła oczy z takim wyrazem, że się zmieszał.

— Jaki pan dla mnie niedobry, jaki niedobry!—wdzięczyła się kapryśnie.

— Ależ jabym dla osoby poświęcił już niewiem co!—zawołał patetycznie.

— Nie prawda, ani nawet tyca! Pokazała mu koniuszek czerwonego języka i, wsparłszy się obfitym gorsem o brzeg stołu, patrzyła wyzywająco.

— No, i cóż, panie Józiu?—zagadnęła po długiej chwili.

— Co? a poniedziałek już od samego rana, panno Marychno!

— I Marzec od pierwszego Marca! Zaśmiała się, uderzając go włóczką. Za szafami wybuchnęła dosyć burzliwa sprzeczka i ktoś zawołał.

— Panno Marychno, cztery mocne z kroplami!

— I cztery małe piwa na przekąskę!—dorzucił jakiś grubszy głos.

Marychna zakręciła się przy bufecie, a pompując piwo, patrzyła w Józia, wdychając przytem tak głęboko, aż pełny gors podnosił się jej pod samą brodę i trzeszczały wszystkie szwy i guziki, a po twarzy, omączonej pudrem i pełnej sinych pryszczów, przelatywały rumieńce.

Poniosła za szafy napoje i prawie w tej chwili zawrzeszczała piskliwie.

— No, jak mamę kocham, tak poprzetrącam! ręce przy sobie.

Buchnęły drwiące śmiechy, ktoś się zaszamotoł, przewróciło się krzesło i wybiegła rozczzerwieniona i zasapana, przyglądając rozburzone włosy. Brzydka była i śmieszna, głowę miała podobną do wyryśowanego pudła: złote, ogromne koła w uszach, twarz okrągła, zadarty nosek, ukarminowane wargi i małe podczernione oczki. Usiadła na dawnym miejscu z takim westchnieniem, że aż pękła jakaś haftka przy staniku.

— Jak mamę kocham, ale z pa-

na ciężki frajer,—ozwała się z przekąsem.

— Że zawsze ręce trzymam przy sobie, co? Irytowały go już te przymówki.

— Także coś! Obraziła się, lecz po chwili, obrzucając go melancholijnym spojrzeniem, zaszeptała gorąco:—Pan — to jak drewno... ludzie giną przez pana... tęsknią... a pan nic nie widzi... i zawsze tylko sam, z temi książkami...

Roześmiał się wesoło i rzekł, pochylając się ku niej.

— Ale za to dobrze wiem, co się dzieje na stacyi. Wiem nawet, co wczoraj za szafami mówił do pani Adam... wiem także, że była pani bez gorsetu...

— Także wymysł! Ci mężczyźni to gorsi—już niewiem od czego! Plotkują tylko po biurach! Zaperzyła się, ale—by zmienić niemiły temat, zawołała.

— Wie pan, pułkownikowa znowu wypytywała się o pana!

— Mało to ma w pułku oficerów!

— Ona podobno deńszczyków zmienia co miesiąc... nie może sobie dobrać...

Przyszło na wódkę dwóch maszynistów i Marychna znowu stanęła za bufetem. Józio popijał wyziębłą kawę i patrzył przez okna na pociąg towarowy, przesuwający się przez stację, niby długi wąż o białym, zaśnieżonym grzbiecie. Od bufetu roznosiły się strzępy rozmów i brzęk kieliszków.

— Naprawdę nie boi się pani sama w łódeczku, naprawdę!..

— A co też panna Marychna robi z rączkami!

— Bo pójdę sobie... jak mamę kocham... jeszcze kto usłyszy...

Za szafami znowu zawrzało, ktoś bił pięścią w stół i zapalczywie dowodził.

— A ja ci mówię, że szachrujesz! A ja ci mówię, że jak jeszcze raz mnie oszukasz, to ci buzię przeniecuję na amarantową stronę.

— Gadaj zdrow, ale przegrane koniaki postaw, panno Marychno!

— Chodźmy, nie można się wtrącać do przyjacielskiej rozmowy! Zaśmiał się jeden z maszynistów i wyszli na zaśnieżony peron.

A w tejże chwili rozwarły się szeroko drzwi od podjazdu, zabręczały pospuszczane szable i dwóch młodzianów maszerowało równym i jakimś twardym, bojowym krokiem prosto na bufet.

Panna Marychna przypudrowała sobie twarz za palmą, przesunęła czemś po wargach, że trysnęły namiętą purpurą, wyniosła pierś nad klosze i przekąski, kieliszki postawiła na tacy i, sięgając po butelkę, czekała.

— Dwa większe, czyste! Mówiła ze słodkim uśmiechem, błyskawicznie nalewając.

Wypili.

Nalała po raz drugi, wodząc po nich zabójczemi oczyma.

Wypili.

Nalała już automatycznie, nie wypuszczając butelki z rąk.

Wypili.

Chciała łać po raz czwarty, ale jeden z młodzianów zakomenderował.

— Dawolno!

Panna Marychna z godnością odstawiła butelkę, a młodzieńcy, wsparci o bufet, długo wodzili ciężkimi oczyma po rozstawionych przekąskach.

— Sielodka jest?—zagadnął któryś, wpatrując się ponuro w jej gors.

Podsunęła mu talerz z czarującym uśmiechem.

— A świeży kawior jest? Głos mu brzmiał, jakby przesiąknięty łzami.

Otworzyła puszkę, przysunęła talerz i zatopiła łyżkę w szarej masie.

— Całą porcyę, dobrze? A może przyprawić z cebulką i oliwą?

— A riabczyki jest?—pytał, jakby jej niesłyszając.

— Może być wszystko, co tylko panowie zamówią! Jan! Zawołała za szafy.

DCN.

PRZYWÓDCA.

Dramat w 3-ach aktach.

Scena 3.

Ciąż i Kazimierz Łomęcki.

(Kazimierz, w podniszczonym ubraniu fabrycznym, śle ogolony, roz-targniony; widocznie, że jego myśl pracuje wciąż daleko).

MARYA *(pochodzi szybko do niego)*. Dzień dobry.

KAZIMIERZ *(ściska ją za rękę)*. Dzień dobry, jak się pani ma? Przepaszam... Kolego Czelański!

CZELAŃSKI *(szrywa się od biurka)*. Jestem. *(Kazimierz spostrzega Ludkę i przygląda się jej ze zdziwieniem, onieśmielony)*.

WŁADYSŁAW. Moja kuzynka... Pan Kazimierz Łomęcki... *(Kazimierz kłania się zdaleka, Ludka, oddając ukłon, mierzy go wzrokiem ciekawym)*.

KAZIMIERZ *(do Czelańskiego)*. Idźcie do stolarni... Trzeba tam wyjaśnić, że stolarze nie mogą nic ustąpić *(szepce)*. Rozumiecie?

CZELAŃSKI. Rozumiem — *(chce iść)*.

BRUKWA *(rozszalony)*. Przepaszam pana... *(Czelański zatrzymuje się)*. Panie Kazimierzu, pan Czelański ma pilną robotę w biurze. Wczorajsze kwity nie wciągnięte do książki.

KAZIMIERZ *(z pewnem roz-targnieniem, łagodnie)*. To ważniejsza sprawa... *(do Czelańskiego)*. Idźcie zaraz...

GARUNIEWICZ. Panie C. Czeka-jecie! Ja z wami także pójdę.

BRUKWA *(poruszony do żywego)*. Co? i pan także! Nie, to już niech dyabli porwą całą robotę... *(Czelański i Garuniewicz wychodzą drzwiami na podwórze)*.

BRUKWA *(j. w.)*. Tak być nie może! Albo jest biuro, albo niema biura! Albo jest porządek...

KAZIMIERZ *(spokojnie, bez uśmiechu)*. Albo go niema. Porządek po raz wtóry wyłoni się z chaosu... Wierz mi pan, wasze książki i kwity dziś nie znaczą...

BRUKWA. Nic nie znaczą. Ciekawym, co dziś znaczy *(szpera na biurku)*.

MARYA *(do Kazimierza)*. Co nowego?

KAZIMIERZ *(przygląda się mi-mowoli Ludce)*. Nic... *(spojrzat na zegar)*. Za parę minut maszyny staną...

BRUKWA. A ja panu mówię, że dyrekcyja waszych warunków nie przyjmie. Żaden fabrykant nie zgodzi się na to, żeby nie miał prawa rządzić się we własnym domu. Każdy chce być u siebie gospodarzem.

KAZIMIERZ *(j. w.)*. Damy im czas do namysłu.

BRUKWA. A potem?

KAZIMIERZ. Skoro termin upły-nie, zaczniesz się strejk.

BRUKWA. A jeśli dyrekcyja zamknie fabrykę zupełnie?

(Kazimierz robi zrezygnowany ruch ręką).

BRUKWA. Zarząd jest podobno zdecydowany... Cóż im się stanie? Wychodzą za granicę... Ale robotnicy... A my wszyscy?

KAZIMIERZ *(łagodnie)*. Bez walki nie zdobywa się praw, panie Brukwa. Walka nie obywa się bez ofiar i poświęceń...

MARYA *(porweczno)*. Robotnik przy-wykł do głodu. Łatwiej go znieśie dla idei, niż dla tego, żeby tuczyć kapitalistów.

BRUKWA *(stroskany)*. Oni nie ustąpią. Zamkną fabrykę, nam wszystkim wymówią miejsce.. Mój syn miał w przyszłym roku skończyć Rygę... Żona ciągle chora... Z czego ja żywię moją rodzinę? Powiedz pan, po trzydziestu latach pracy pod kościół pójdę?...

KAZIMIERZ *(j. w.)*. Czy pan jesteś jeden? Czyż nam wszystkim nie grozi to samo? Przedewszystkiem im! *(wskazuje na drzwi fabryki)*. Przecież nie można żyć w wiecznej niewoli... Lepiej już zginąć, by przyszłym pokoleniom zapewnić lepszą dolę.

LUDKA *(stoi trochę na uboczu z Władysławem, mówi do Władysława, lecz zwraca się i do Kazimierza)*. Czyż w zarządzie niema ludzi, którzyby zrozumieli, którzyby odczuli... *(urywa zmieszana)*.

KAZIMIERZ *(onieśmielony)*. Tu nie chodzi o jedną fabrykę... Ani o ich współczucie...

MARYA *(przerzywa cierpko)*. Twoja książka rozdaje pewno po chałupach głodnym dzieciakom cukierki angielskie i uważa się za bardzo miłosierną.. ha... *(śmieje się szyderczo)*. Moja droga, my nie potrzebujemy ani współczu-

cia, ani miłosierdzia, ani cukierków angielskich. My chcemy tego, co nam się słusznie należy i wydrzemy im choćby z gardła.

BRUKWA *(smutny)*. Gdyby pani była matką, nie mówiłaby tak.

MARYA *(pogardliwie)*. Dla paua najszlachetniejszym uczuciem jest instynkt kury względem swoich kurcząt.

WŁADYSŁAW *(w miarę, jak mówi, spostrzega na sobie zniecierpliwio-ny wzrok żony i miesza się)*. To trzeba sobie dobrze uświadomić. Z jednej strony, że tak powiem, stary, ginący ustrój... Z drugiej — proletaryat. By osiągnąć wielkie cele, do których dążymy, musi być walka.. walka klas... to jest konieczność... *(do Ludki)*. Jeśli chcesz, smutna konieczność, ale nieunikniona... *(zegar bije piątą)*.

MARYA. Piąta *(przeciągły syk syreny fabrycznej. Słychać, jak maszyny stają. Kilku rzemieślników i robotników przechodzi z fabryki przez salę i wychodzi drzwiami na podwórze)*.

BRUKWA *(porządkuje spieszenie papiery i książki, poczem zamyka biurko)*. Czy panowie muszą przez biuro przechodzić? Zawsze trzeba panom przypominać? *(mruczy pod nosem)*. Nawarzą piwa, które wszyscy będziemy musieli pić... Nawarzą... Ale ja się do tego mieszać nie będę...

MARYA *(szyderczo)*. Pan za nic w świecie nie spóźniłby się o kwadrans na obiad! Niech pan je spokojnie.

BRUKWA *(zaczępny)*. Oczywiście, że będę jadł spokojnie. A może już i tego niewolno? Może już teraz będziecie zmuszać, aby każdy chodził na wasze wiece?

MARYA. Obejdzie się bez pana.

BRUKWA *(j. w.)*. Chwała Bogu. Do widzenia państwu *(osobno kłania się Ludce)*. Moje uszanowanie *(wychodzi)*.

KAZIMIERZ. Panie zostają?

MARYA. Poczekamy tutaj... Czy na pana czekać z obiadem? *(wychodzi dwóch robotników z fabryki i py-tającym wzrokiem spoglądają w stronę Kazimierza)*.

KAZIMIERZ *(do robotników)*. Za-raz idziemy... *(Szulc uporządkował biurko i przechodzi do fabryki, kłaniając się niezgrabnie)*. Nie, proszę

pani... Dziś wcale nie przyjdę... nie będę miał czasu... Potem mam zaraz posiedzenie...

MARYA. Przyszłę panu do domu... (do Ludki). Jeśli nie jesteś głodna...

LUDKA (śwyo). Ależ wcale nie... Jabyam bardzo chętnie pozostała...

KAZIMIERZ (z pewną nieśmiałością). Może pani chce wejść? (wzrokiem wskazuje na salę).

MARYA. Nie, nie... Jak będziemy chciały, to uchylimy drzwi... (w drzwiach znów ukazują się robotnik).

WŁADYSŁAW. Idziemy... (Kazimierz kłania się Marysi i Ludce i wraz z Władystawem wychodzi do fabryki).

Scena 4.

Marya—Ludka.

(Z sali fabrycznej dochodzi odgłos gwaru, tłum robotników, który się schodzi. Zwolnu jednak gwar milknie).

MARYA (po chwili). Jakie wrażenie sprawił na tobie Łomęcki?

LUDKA (szczera). Wiesz, dziwne... zupełnie inaczej go sobie wyobrażałam. Wszystko, co ty o nim mówiła... Tymczasem on w oczach ma taką dobroć... Taki cichy, skromny, łagodny... (z przekonaniem). Bardzo interesujący.

MARYA (dolknięta). Interesujący. Łomęcki nie jest salonowym paniczkiem, który umie tańczyć polkę w lewo i dyskutować o romansach Bourgeta. To jest człowiek niepospolity. On zorganizował robotników, on zrobił wszystko... Ty nie możesz mieć pojęcia, jakie były trudności... Prostu trzeba było nadludzkiej pracy i wytrwałości... (nasłuchuje). O... już zaczyna mówić... Jego wymowa jest porównawcza.

LUDKA. Może chcesz wejść? Jeśli o mnie chodzi...

MARYA (z lekkim odcieniem wesołości). Nie znają cię jeszcze... Wszystko jedno... Wiem, o czym będzie mówił...

LUDKA. Władzio dobrze mówi?

MARYA (lekceważąco). E... Choć przy Łomęckim dużo skorzystał... (w sali hulas, słychać krzyk bitego człowieka i spokojny, acz donośny, głos Kazimierza).

KAZIMIERZ (za sceną). Nie czynicie mu nic złego, tylko wyrzucić go precz. Na drugi raz kula w łeb.

MARYA (przez drzwi). Panie Szulc, co się stało?

SZULC (za drzwi). Nic... schowaliśmy się za szafę... Podobno szpicel... Lepiej go było od razu... Ale pan Kazimierz nie kazał... (Marya zamyka drzwi, chwila milczenia).

LUDKA. Ty teraz jesteś zupełnie inna, niż dawniej. Pamiętasz, dwa lata temu? Władzio obawiał się już melancholii.

MARYA (porywczo). Błąkałam się przez życie, jak łódź bez steru. Teraz dopiero odnalazłam się...

LUDKA. Władzio cię tak kocha.

MARYA (z lekceważeniem). Czy sądzisz że miłość małżeńska może wypełnić życie?

LUDKA. Alboż nie?

MARYA (pogardliwie). Pewnym kobietom nie potrzeba nawet miłości. Wystarczają im miłostki i flirty.

LUDKA (z łagodnym wzruszeniem). Ja o takich nie myślałam.

MARYA (z porywem). Nie chciałam cię dotknąć. Jeśli tak można było zrozumieć, przebaczone. Pojmujesz mnie? To taka wielkarzecz w tej płaskiej, szarej pustyni, jaką jest zazwyczaj nasze życie, odszukać swą własną drogę, jasno wytknięty szlak, nadać kierunek swym pragnieniom i dążeniom, znaleźć ich świeże, bogate źródło, bijące wspaniale... To jest dopiero życie bujne, pełne. W takim życiu niebezpieczeństwo staje się rozkoszą—treścią bytu. (w sali obojętnie rozlegają się oklaski i burzliwe okrzyki). Słyszysz, to Łomęcki porywa ich, przykuwa do swej myśli i woli. Oni muszą iść za nim, bo on prowadzi ich do zwycięstwa, do wielkiego tryumfu...

LUDKA (patrzy na nią zdumiona). Maniu! ja ciebie nie poznaję!

MARYA (kiwa na nią, podchodzi do drzwi i uchyla je). Słuchaj.

KAZIMIERZ (za sceną mówi z rosnącym zapalem). Tak, towarzysze! To prawo własności wypaczyło duszę ludzką, wznieciło w niej chciwość drapieżną, rozplomiło w niej wstrętne instynkty samolubstwa. Lecz my odrzucimy ludzkość, znieśmy wyzysk, położymy tamę krzywdom, pod których brzemieniem ugina się cały proletaryat. Podnieście czoła! Spójrzcie śmiało przed siebie. Oto olbrzymia armia robotnicza kroczy naprzód niepokonowana, z każdym dniem wzrasta liczebnie, jej organizacja, karność i uświadomienie wzmagają się bezustannie, każda chwila zbliża nas do świętego dnia zwycięstwa. Czy widzicie, jaki dziki lęk ogarnął wyzyskiwaczy? Gniew wyzyskiwanych wzbiera i huczy coraz groźniej. Drżycie wy, co się kryjecie w pałacach, wzniesionych krzywdą i łzami ludu! Drżycie, bo nadchodzi straszna godzina sądu! Nie będzie dla was przebaczenia, ani łaski! (grzmienie oklaski). Towarzysze! Nie odnosi się zwycięstwa bez ofiar i poświęceń. Zwycięstw nie święcą ci,

co z założeniami rękami czekają zmiłowania losu. Kto pragnie uczestniczyć w tryumfach zwycięstwa, ten musi brać udział w trudach i niebezpieczeństwach walki. Kto nie jest z nami, ten jest przeciw nam (Marya zamyka drzwi, głos Kazimierza milknie i cichnie). Minał czas względności i ustępstw...

LUDKA (więcej do siebie, niż do Maryi). Tu był taki cichy i łagodny... A tam...

MARYA (z zapalem). On żyje tylko myślą o innych... Sam dla siebie nic nie żąda... Wszystkoby oddał. Zmusiłam go, żeby się u nas stołował, bo całymi dniami nic ciepłego w ustach nie miał.

LUDKA. Nie ma rodziny?

MARYA. Nie.

LUDKA (bezwiednie powtarza). Wydawał się taki cichy...

MARYA (przez drzwi). Już kończy... Tak... (wybuchają oklaski i okrzyki).

OKRZYKI (za sceną). Tak... tak... Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich! Niech żyje Łomęcki!

MARYA. Zaraz tu przyjdzie.

(po chwili wchodzi Łomęcki, ocierając pot z czoła).

Scena 5.

Marya—Ludka—Łomęcki

KAZIMIERZ (zamyka drzwi za sobą). Teraz będzie mówił Władystaw.

MARYA (z łajnym zachwytem). Słyszałyśmy pana... Niech pan spojrzy na Ludkę... Jak jej oczy błyszczą...

LUDKA (z prostotą). Nie przypuszczałam, że z pana jest taki straszny człowiek... Niektóre wyrażenia brzmiały wprost złowrogo.

KAZIMIERZ (łagodnie). Mówiłem tylko, co myślę.

LUDKA. Pan... Pan musiał być bardzo nieszczęśliwy.

KAZIMIERZ (zdziwiony). Ja? Dlaczego?

LUDKA. Bo w panu zebrano się tyle nienawiści.

KAZIMIERZ. To... nie tylko tak... (z początku ośmielony, z biegiem słów zaczyna się zapalać i mówi gładko i potocznie). Gdy się widzi wciąż taki ogrom nędzy... niedoli... Jeśli pani chce... ta moja nienawiść płynie przede wszystkim z miłości dla... nieszczęśliwych (nagle). Czy pani była kiedy głodną?

LUDKA (zdziwiona). Nie.

MARYA (stoi przy drzwiach, z odcieniem pogardy). Ona tego nie zrozumie.

KAZIMIERZ. Gdyby pani zajrzała do izby robotnika!.. Te kobiety, przed-

wcześnie postarzałe, brzydkie, bo która piękniejsza, staje się zaraz łupem uprzywilejowanych, dzieci nędzne, ledwo odrosłe od ziemi, już wprzęgnięte do pracy; całe życie twarde, ponure, bez uśmiechu, bez nadziei lepszego jutra... Ja... ja widziałem ludzi osłabłych z głodu, marznących z zimna... Widziałem bezsilną rozpacz matek, gdy dzieci wołały jeść. Nie ten głód literacki, przerażająco okrutny w swej grozie, nie męki Ugolina, ale głód brzydki, brudny, wstrętny, — przekleństwa, złorzeczenia, zanik wszelkich szlachetniejszych instynktów ludzkich, — człowiek zwierzę w ostatecznym upodleniu... I... niech pani zajrzy do wnętrza tych wspaniałych kamienic — wesołe, pogodne szczęście wyzyskujących, rozkoszne używanie życia, dla owej nędzy ludzkiej pogarda — albo litość, która jest tylko odmianą pogardy...

LUDKA. Czyż kochać nieszczęśliwych, chcieć poprawić ich los, to konieczne — nienawidzieć szczęśliwych?... Można przecież...

MARYA (*pogardliwie*). Woda z sokiem malinowym.

LUDKA (*nie zwraca uwagi*). A pan sądzi, że można będzie usunąć różnice... nierówności...

KAZIMIERZ (*silnie*). Tak. Każda wola będzie równa każdej woli.

MARYA (*podchodzi do nich*). Na próżno pan usiłuje ją przekonać...

LUDKA (*żywo*). Przepraszam cię... nie pozwolił mi powiedzieć... ja tego nie mogę pojąć, żeby nienawiść mogła stworzyć szczęście. Nienawiść nic stworzyć nie może. tylko niszczyć... Ja przecież rozumiem, że wolności ani praw nie zdobywa się bez walki... że ofiary, poniesione w takiej walce są szczytne, ale dlaczego tylko pod hasłem nienawiści!

KAZIMIERZ (*jakby się wstydzil przyznać*). W imię miłości tłumów nie poprowadzić...

MARYA (*ironicznie*). Jak na pannę dobrze wychowaną, kuzynka bardzo ładnie dyskutuje (*odchodzi znów do drzwi*).

LUDKA. Czemu obgadujesz mnie.. Wiesz, że nigdy nie byłam lalką... Pracuję odawna... niezawsze lekko...

KAZIMIERZ. Pani musi być bardzo dobra.

LUDKA. Dlaczego pan tak sądzi?

KAZIMIERZ (*zmieszany*). Nie wiem... z tego, co pani mówi...

LUDKA. Mnie się zdaje, że gdyby nie było ludzi nieszczęśliwych, nie byłoby i złych...

KAZIMIERZ. Pani była zawsze szczęśliwa?

LUDKA. Nie... Zostałam wcześniej sama...

MARYA (*zwraca do nich, ironicznie*). Stał się cud... Pan Kazimierz emabluje... Pierwszy raz widzę... (*po-dejrzliwie patrzy*). I nic się pan nie boi...

LUDKA. Dlaczegoż pan Łomęcki miałby się mnie bać?

KAZIMIERZ. Pani Marya wie, że jestem nieobyty w towarzystwie.

DCN.

Robert Hichens.

OGRÓD ALLAHA.

Przekład z angielskiego.

Domini i Zuzanna przybyli na stację w Robertville nazbyt wcześnie. Wielka sala, w której miały oczekiwać, była nędznie oświetlona, pusta i stanowczo zimna. Kasa bufetowa była na lewo, i stacja była przedzielona na dwie części szerokim, niskim kontuarzem, na którym kładły się rzeczy, zanim zostały zważone przez dwóch nieogolonych posługaczów w niebieskich bluzach. Trzech czy czterech brudnych drabów, w nader nędznych ubraniach europejskich i w turbanach, okrążyło Domini, ofiarując usługi. Jeden z nich, najbrudniejszy z gromady, z rozwartym oczodołem, w którym nie było oka, nastęczał się z natarczywością gwałtowną i bezwstydem, cechującym wyszkolonego fachowca. Mówił płynnie, lecz z błędami, po francusku, czem zwrócił uwagę Zuzanny, a będąc niewzruszenie muskularnym i sprawnym, w niepomiernie krótką chwilę opanował wszystkie pudła i walizy i ułożył je rzędem na kontuarze. Zatem łaskawie dał znać o sobie w dramatycznym spełnieniu, czem również mniemał pobudzić do życia i uwagi dwóch nieogolonych mężów w bluzach, palących papierosy i patrzących bezmyślnie na metalową

blachę, na której złożone były kufry do wagi. Zuzanna stała oczekując, a Domini, nie mając nic do roboty, i nie mając na czem usiąść, chodziła zwolna wzdłuż i z powrotem po sali niedaleko drzwi wejściowych.

Było zaledwie pół do czwartej rano, i Domini poczuła w powietrzu jakby świeży oddech wstającej zorzy. Poza wylotem stacji, gdy tak chodziła wzdłuż i z powrotem w swej bezcelowej wędrówce, ujrzała zmoczone firanki karety, które tylko co opuściła w słabym świetle latarni. Po kilku minutach weszły arabki, które była spotkała w drodze, jak brnęły zakasane po błocie. Bronzowe ich bosc nogi były zamulone; jak tylko znalazły się pod dachem i w suchym miejscu, opuściły szaty, które miały uniesione, i poczęły strząsać je na posadzkę i wyprostowywać swemi zgrabnemi palcami. Czyniły to z nadzwyczajną starannością i zrzecznością, poczem wycierały wielokrotnie podeszwy nóg o podłogę i wtedy wkładały swe żółte pantofle, ściągając na tył głowy kaptury, które osłaniały im głowy.

Weszło kilku podróżnych: byli to francuzi; poziewali i widocznie byli

w złych humorach. Otoczyli ich różni natręci, hałaśliwie proponując usługi. Ludzie w bluzach nie przestawali palić papierosów i ciągle wpatrywali się w metalową blachę na podłodze. Wreszcie w okienku kasy ukazało się światło. Tragarze milczący odrzucili nareszcie papierosy, i mała garstka podróżnych poczęła się tłoczyć ku swoim bagażom, ukazując je laskami lub rękami. Zwolna wtoczył się pociąg, oświetlony bładem światłkami. Kufry Dominiki zwrócono na wagę, a Zuzanna z portmonetką w ręce stanęła przed świecącym okienkiem kasy.

Śród wilgotnej ciemności odezwał się dźwięk, niby gniewny krzyk dziecka, a zaraz potem sygnał trąbki. Szarpnawszy, pociąg ruszył, minął wszystkie latarnie i miarowo, skrzypiąc i turkocząc, pomknął w świat nieznaną.

Wagon, w którym Dominika zajęła miejsce, był nędznie oświetlony. Prócz niej, trzech francuzów zasiadło naprzeciw drzwi, wiodących na platformę. Mężczyzna, siedzący naprzeciwko niej, był niezmiernej tuszy, z czarną, jak węgiel brodą, która zarastała mu aż

pod oczy. Miał na sobie czarne rękawiczki, czarne ubranie i czarny płaszcz, z również czarną kłamrą pod szyją. Oczy miał zamknięte, duża jego ciężka głowa opadła na piersi. Dominika pomyślała, że jedzie on zapewne na pogrzeb kogoś z rodziny. Dwaj inni podróżni, z których jeden wyglądał na komiwojażera, grzeli nogi na leżących na ziemi naczyniach z gorącą wodą, chrząkając i żaląc się głośno. Pociąg skrzyptał głośniej i szarpał z jednej strony na drugą, by zdobyć pośpiech pod górę. Strumienie deszczu spływały po szybach, przez które nic nie było widać.

Dominika czuła się rzeźwą, lecz spadł na nią wszechwładnie głęboki jakiś smutek. Nie przypisywała tego uczucia zmęczeniu, nie próbowała go nawet analizować. Zdawało jej się tylko, że to wszystko, co dotychczas widziała i słyszała na świecie, było albo smutne, albo przykre, lub nierozwikłane.

Pociąg zatrzymywał się na małych samotnych stacyjkach. Dominika wyglądała wówczas, spuszczać na chwilę okno. Na każdej stacyi widziała lekkie domy ze spiczastymi dachami, drewniane ogrodzenia, dzielące platformę od drogi, pełnej błota, bujne trawy, uginające się pod kroplami deszczu, i okapujące wodą wysokie drzewa eukaliptusów. Czasem dzieci naczelnika stacyi przyglądały się pociągowi ciekawemi oczyma, lub arabowie, zgnębieni, szczerlnie owinięci, z ustami i brodą ukrytymi w chusty, przesuwali się z wolna.

Raz dostrzegła Dominika dwie kobiety w powiewnych białych szatach ze świecącymi zasłonami: wyglądały, jak duchy, wśród ciemności. Ciężkie srebrne ozdoby brzęczały wokoło ich nóg ponad zabłoconymi pantofelkami. Ciemne ich oczy świeciły, okolone węglową kresą. Rękoma, koloru brunatnego, z paznokciami, ubarwionymi na czerwono, przyciskały do wydatnych piersi swoje obłubieńcze zasłony. Towarzyszył im wysoki człowiek, prawie czarny, z blizną, zygzakiem idącą przez lewy policzek; miał on na sobie lśniący brązowy płaszcz, narzucony na szary wełniany kaftan. Wepchnął, jak piłki, obie kobiety do wagonu i wsiadł za nimi, pokazując swoje olbrzymie gołe nogi, na których ściągana były, jak ze stali.

Ciemność poczęła rzednąć i teraz, gdy szary blask począł powoli urastać, ustał deszcz — i przez okno wagonu widać już było świat.

Okolica poczęła odsłaniać się przed oczyma Dominiki. Zauważyła, że pociąg szedł bardzo wolno; powodem tego, jak dostrzegła, było znaczne wzniesienie, na które wjeżdżali. Daleko już pozostały urodzajne wilgotne równiny z pod Robertvillu, z ornami gruntami, bogatą trawą i gajami eukaliptusowemi. Pociąg włókł się wśród pagórków szarych, nagich, pustych, bez domostw i dróg, bez jednej nawet drzewiny. Nędzne szaro-zielone kępki krzewów, tu i owdzie przy gródkach ziemi rosnące, podnosiły jeszcze miast zmniejszałe wrażenie jałowości tej nędznej ziemi, nad którą zorza, wychylając się z wilgotnych objęć nocy, zrzuciła zimne matowe światło. Wąskim jarem, biegnącym wśród pagórka, gdzie ziemia mieniła się brunatno-żółtawą barwą, dreptało stadko kóz z kłapiącymi uszami, a za niem dwóch małych arabów. Grali oni na fujarkach, ozdobionych w czerwone arabeski. Dominika dosłyszała parę tonów melodyi, dzikiej jakiejś, czystej a słodkiej, niby głos ptaka. Zdało się jej, że współzawodniczą one z czystym, surowym światłem, które świt rzucał na nagie, szare pagórki, i otrząsnęło to ją nagle z przygnębiającego znużenia, w które pogrążyła ją smutna obecna podróż. Zaczęła sobie zdawać sprawę z pewnym lekkim podnieceniem, że te nizkie o krągłych grzbiętach pagórki są afrykańskie, że pozostawiła poza sobą morze, którego tak liczne fale oplukują brzegi Europy, i że tam dalej, blisko linii horyzontu, gdzie podążał pociąg, leżała wielka pustynia, jej cel — ze swemi blademi piaskami, miastami w ruinach, z opalonymi słońcem plemionami, ludźmi trudu, ze zbójcami, wojownikami i kapłanami, z powietrzną tajemnicą uludy i tragiczną wspaniałością barw, huraganów i żaru. Uczucie szerszego świata, niż ten, w który pogrążyło ją zmęczenie fizyczne, obudziło się w jej myśli i sercu. Mały arab, grający bez troski na fujarce w arabeski czerwone, znikł z oczu wśród kóz swoich w pobliżu wyschniętego łożyska strumienia: był to niechybnie cel jego wędrówki, lecz dla Dominiki był on, jak ów muzykant na czele uroczystego pochodu: prowadził ją na nowy świt, do Afryki.

W Ah-Souf Dominika przesiadła do innego pociągu, i miała cały przedział dla siebie. Różni podróżni wsiadali, jej pielgrzymka była dalszą i ciągle naprzeciw słońca. Nie mogła później przypomnieć sobie, o czem tę część drogi myślała. Następane wrażenia tak wyraźnie zabarwiły jej

wspomnienia z Afryki, że każda bruzda wyschłej na słońcu ziemi znaczyła się w umyśle, jak coś żyjącego. Każda palma koło studni, każdy krzew winny, i pnący się kwiat po murze oberży, i kształt każdego pagórka, i zarys każdego cienia odbiły się w jej sercu z mocą i pięknnością tych rzeczy, które niegdyś w dziecinnej egzaltacji wyśniła — że leżą za słońca siedzibą.

I tak zapomniała.

Ogarnęło ją dziwne uczucie, iż pozostawia wszystko za sobą. Była rzeczywistość zmęczona podróżą i bezsennością, choć tego nie wiedziała. Oparła głowę o brudno-białe pokrycie trzęsącego się wagonu i wpatrywała się w wielką zmianą, jaka zachodziła w okolicy.

Zdało się, że Bóg rozpostarł tu ręce, odbierając stopniowo to wszystko, co był stworzył, wszystkie zasoby, które był złożył w wielkim pałacu świata, jakby chciał go zostawić pustym i całkiem nagim.

Domini tak myślała.

Naprzód odjął on sutą i zjezoną trawę i wszystkie drobne kwiatki, które skromnie w niej rosły. Potem zmiotł gdzieś rzędy pomarańczowe, oleandrowe i brzoskwiniowe drzewa, wierne eukaliptusy z blademi trzonami i splecionemi liśćmi, słodkie wody, które użyźniały glebę, czyniąc ją miękką i brunatną, gdy plug rznął ją w bruzdy, kępiaste rośliny i trzciny olbrzymie, które tłoczyły się, gdzie woda. I wciąż, jak przebiegał pociąg, dary jego stawały się skąpsze. Wreszcie i palmy gdzieś przepadły — i figa barbarzyjska nie zalecała się już swą mocą skręconą ani blademi i fantastycznym rozwięciem swych nienaturalnych liści. Wszędy leżały kamienie na ziemi żółtej i szarobrunatnej. W słońcu lśniły kryształki, jak tanie świecidlą, a tam dalej, pod chmurami, które były ciemne i jakby z pierza, widniały mocne i niezbite góry, wyglądające, lak kute z strzępionego żelaza w kształty potworne i zębate. Tam, gdzie padały w przepaście, stawały się czarne. Wzdęte ich garby i boki, ostre miejscami, jak krzyże zwierząt, były koloru stalowego. Wierzchołki ich grały purpurą, ciemniejącą aż do hebanu — tam gdzie chmury się na nie spuszczały.

Ku tym twierdzom strasznych ciągnęły karawany, na które Domini patrzyła z ciężkiem i letargicznym zaciekawieniem. Wiele kobiet kabylskich, piękniejszych, niżli ona, ciągnęło z wolna pieszo ku swym skalistym siedzibom.

Po ziemi zwiędłej szli ludzie ku tym odległym góróm i chmurom. Słońce było za chmurami. Wiatr wciąż się wzmagał. Piasek przenikał poprzez okna pociągu. Góry, im wyraźniej widziała je Domini, wyglądały wciąż posępniej, wciąż bardziej niezmiernie. Było coś nadnaturalnego w ich twardej zarysach, surowej tajemniczości ich nieskończonych złomów. Wszyscy ci ludzie, ciągnący ku nim, byli jacyś patetyczni i zasępiali wyobraźnię.

Wiatr stawał się tak chłodnym — słońce już się ukryło — iż zamknęła oba okna i okryła się pledem. Umieściła nogi na przeciwległym siedzeniu i w pół przymknęła oczy. Lecz wciąż zwracała je ku szybie z lewej strony i czuwała. Zdało jej się prawie rzeczą niemożliwą, by ten kołyszący i zwolna poruszający się pociąg miał jakieś przeznaczenie. Pustka okolicy stawała się tak całkowitą, iż nic już nie mogła pojmować prócz większej wciąż pustki, która się miała roztoczyć. Nie czuła tego wcale, iż przerzyna częściowo trakt bezpłodny. Miała wrażenie, iż wyszła poza granice, które stworzył Bóg, i przeszła w jakieś inne miejsce, na które on nigdy nie był wejrzal i o którym nawet nie wiedział.

Naraz uczuła — iż ojciec jej jakgdyby wstąpił w podobną krainę, gdy rzucił był drogi swej wiary. I w krainie tej skończył. Stała na brzegu tej krainy przez jego łożę śmiertelne. I teraz oto jest w niej.

Nie było już teraz wędrujących Arabów, ani namioty nie świeciły już pośród niskich krzaków. Ostatni znak roślinności został zgładzony. Ziemia wznosiła się i spadała w szeregi wzgórków i spadków, usiana bryłami skał. Cienie żółte i brunatne mieszały się i uchodziły ku stopom gór. Tu i owdzie wyschłe strumienie szczyrzyły zęby. Brzegi ich były pomarszczone, jak skórka pomarańczowa. Małe ptaki, koloru ziemi, ze stroszonymi czubkami, uwijały się wdzięcznie wśród kamieni, podfruwały parę łokci i sadyły z wyszukaną zwinnością, jakby ich drobnutkie ciała były na drżących drucikach. Były to jedyne żyjące stworzenia, jakie Domini widziała.

Poczęła znowu myśleć o ojcu. W kraju, jak ten, wędrowała niechybnie jego dusza, — daleko od Boga.

Spuściła okno.

Wiatr był istotnie zimny i wiał mocnym prądem. Piła go, napawając się, jak świeże wino, i zrozumiała na-

raz, iż nigdy dotąd nie wdychała takiego powietrza. Był w niem cudowny, dreszcz budzący smak, smak olbrzymich przestrzeni i toczących się rozłogów próżni. Nigdy jeszcze, ani w górach, ani na morzu, nie oddychała powietrzem tak dziko czystem, przezroczem, żywotnem niewysłowną wolnością.

Wychyliła się ku niemu, zamykając oczy. I teraz, gdy jej oczy nic już nie widziały, podniebienie jej smakowało je jeszcze doraźniej. Myśl o ojcu odbiegła. Wszystkie szczegóły myśli, wszystkie drobiazgi naraz się zatęrzyły. Szła naprzeciw czegoś niezmiernie wielkiego, z ust czego płynął ów dech czarodziejski.

Gdy dwoje kochanków się całuje, oddechy ich łączą się, i jeżeli się naprawdę kochają, każde z nich jest pewne, iż w oddechu kochanej osoby jest jego dusza, idąca od świątyni ciała po przez drzwi świątyni. Gdy Domini wychyliła się, nic nie widząc, była pewną, iż w oddechu tym, który piła, była dusza, i zdało się jej, iż była to dusza z ogniami w środku rzeczy i poza niemi. Nie mogła już myśleć o swym ojcu, jako o wyrzutku, dla tego, że porzucił wiarę. Bowiem tu były wszystkie wiary, wszystkie religie, idące ręką w rękę — i po za tem — tło dla nich, coś znacznie większego, niż religia. Był li to śnieg, czy ogień? Czy było niem bezprawie tego, co uczyniło prawo, lub spokój tego, co sprowadziło namiętności do bytu? Większa miłość, niż ta, która w wierze, lub większa wolność, niż ta, która w ludzkiej woli? Domini czuła jedynie, iż gdyby nie była wieczną niewolnicą, w tej chwili umarła by z radości, iszcząc całą bezmierną wolność, która tę biedną ziemię osnuwa.

„Dzięki Ci, Boże“, wyszeptala na głos.

Własne jej słowa wróciły jej przytomność rzeczy zwykłych — lub też zaśniły ją na wieczność.

Zamknęła okno i sadyła.

Wkrótce słońce znowu wyjrzało i cienie rozliczne żółtego i pomarańczowego koloru, które grały nad ziemią zmarszczoną, poczęły się pogłębiać i jaskrawieć. Domini tak całkowicie wgrzążyła się w letarg, że, chociaż nie śpiąca, zaledwie zdawała sobie sprawę ze słońca. Śniła snem wolności.

Pociąg zwałniał i stanął. Uderzył gwar głośny wielu głosów, na który

wyjrzała. Słońce nie świeciło teraz jaskrawo — i ujrzała stacyę, natłoczoną Arabami w białych burnusach, którzy nawoływali, witając swych znajomych w pociągu, proponowali jadącym olbrzymie pomarańcze, lub spacerowali tam i napowrót, rozglądając się ciekawie wśród podróźnych, z tą nieznużoną czujnością i biernością w powrocie od badań, którą już przedtem zauważyła i osądziła, jako zwierzęcą. Przyszedł konduktor, oznajmił jej, że miejscowosć zwie się El-Akbara i że pociąg będzie tu stał dziesięć minut, oczekując na pociąg z Beni-Mora. Postanowiła wysiąść i wyprostować zdętwiałe nogi. Na platformie zastała Zuzannę, która wyglądała, jakby obita po twarzy. Jeden policzek był czerwony i pokryty nikłą siatką cienkich linii. Drugi był szaro biały. Sen wisiał na jej oczach, nad którymi powieki opadały, jakgdyby były na pół sparaliżowane. Palce jej były żółte od obierania pomarańczy, i jej szykowny mały kapelusik przekreślił się na bok. Na czarnej jej sukni były ziarnka piasku — i gdy ujrzała swą panią, wraz zesznurowała buzię i przybrała wyraz niestrudzonej cierpliwości, charakterystycznej w dobrze ułożonych służących, które rozumieją, iż podróżując zdala od kraju w obcej miejscowości.

— Czy dobrze spałaś, Zuzanno?

— Nie, proszę pani.

— Czy jadłaś pomarańczę?

— Nie mogłam jej przełknąć, proszę pani.

— Może byś chciała wysiąść i wypić tu szklanek kawy?

— Dziękuję pani! Nie mogłabym tknąć tej arabskiej mikstury.

— Wkrótce będziemy już na miejscu.

Zuzanny drobne rysy stały się jeszcze drobniejsze, spuściła oczy na swą spódnicę i naraz poczęła otrząsać z niej ziarnka piasku w sposób obraźliwy, wysuwając jednocześnie lewą nogę. Dwóch czy trzech młodych arabów zbliżyło się do wagonu i stanęło, oglądając ją dokoła.

Oczy ich były wspaniałe i poważnie baczące. Zuzanna w dalszym ciągu otrząsała i gładziła swą suknię, a Domini spacerowała wzdłuż platformy, rozważając, do czego był podobny umysł dziewczyny francuskiej. Zuzanna — to pewne — była ograniczona. Oczywiście — zgorzyla się widokiem nagich nóg. Dla czego?

DCN.